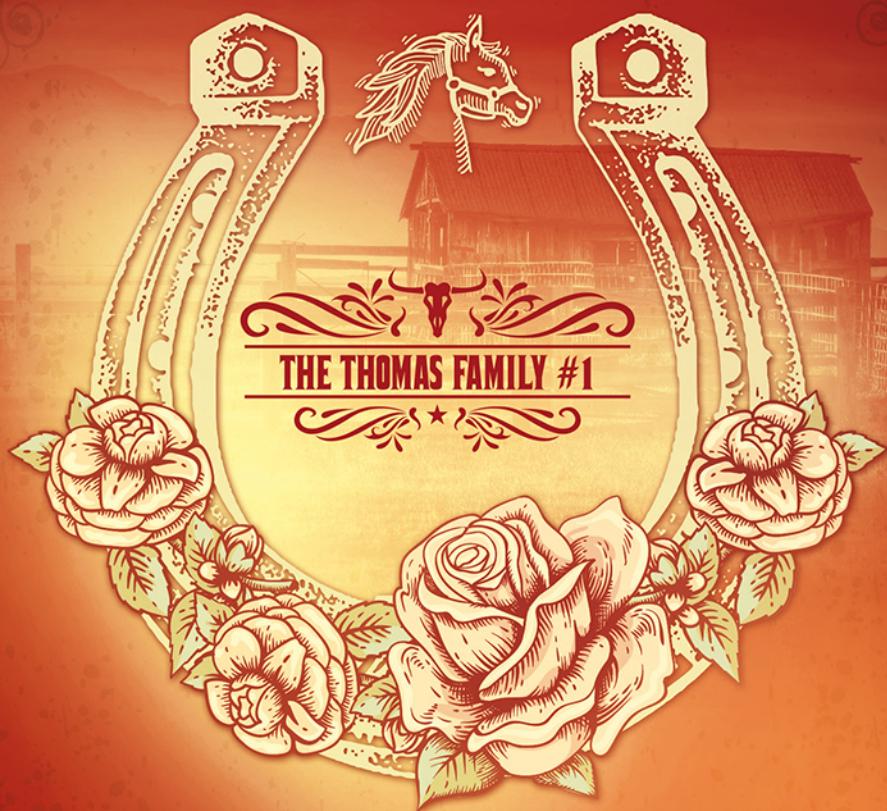


ZUZANNA DOMINIK



# SPĘTANI PRZEZNACZENIEM



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra  
Projekt okładki: Justyna Sieprawska  
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel. 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!  
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres  
<http://editio.pl/user/opinie/tf1spe>  
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0268-8

Copyright © Helion S.A. 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# Prolog

## Brooklyn

— Czemu ja? — jęknęłam głośno, a twarz na moment ukryłam w dłoniach.

Moi rodzice chyba nie mówili poważnie. Czy oni myśleli, że mogę ot tak rzucić wszystko, i jechać użerać się z jakimś starym ranczerem, by przekonać go do sprzedaży nieruchomości? No więc właśnie, miałam milion spraw na głowie, a ta jedna do nich nie należała.

— Bo poradzisz sobie najlepiej. Nie wiem, jak to zrobisz, ale właściciele tego rancza byli nieugięci. Za każdym razem odsyłali nas z kwitkiem.

— I teraz, dzięki mnie, co miałoby się zmienić?

— Od kilku lat jest nowy właściciel. Podobno mało przychylny, może nawet niemiły, ale ty też milutka nie jesteś. Uśmiechaj się i zrób wszystko, by to ranczo należało do nas. W przeciwnym razie możesz już nie wracać, Brooklyn.

— Serio? — prychnęłam. — W ogóle mi się to nie podoba. Mam się bawić w kotka i myszkę z gościem, który pewnie ma piwny brzuszek i śmierdzi łajnem, żebyście mogli postawić kolejną fabrykę?

— Dokładnie. — Ojciec przewrócił oczami, a na jego twarzy malowała się determinacja. — Jakiś problem?

Miałam wiele problemów. Już od dawna im mówiłam, by zrezygnowali z tej nieruchomości, jednak nie słuchali. Niestety. Jak dla mnie to ranczo w Barrington Hills wcale nie było tak dobrze zlokalizowane. Może teren spory, ale po jakie licha mieliśmy coś budować na kompletnym zadupiu?

— Nie chcę.

— Nie zachowuj się jak dziecko. — Matka głośno westchnęła, po czym pochyliła się nad stołem konferencyjnym. Patrzyła na mnie z góry, kręciła głową.

Moi rodzice od zawsze byli bardzo toksyczną parką. Kontrolowali wszystko, co robiłam, a także mnie samą, i pilnowali, bym postępowała tak, jak sobie tego życzyli. A ja się nigdy nie stawiałam. Choć miałam trzydzieści dwa lata, to mieli nade mną władzę i często grozili mi wydziedziczeniem.

Nie podobało mi się przejmowanie tego rancza, jednak doskonale zdawałam sobie sprawę, że decyzja została podjęta. Nie było sensu się wyklócać.

— Wiemy coś więcej o właścicielu?

— Nie, niestety. Pewnie taki jak poprzedni. Stary pryk, który za wszelką cenę chce zachować swoje siano, błoto i brud, czy inne nic niewarte szpargały. Może nie będzie się długo opierał. Jeśli zrobi się nieprzyjemnie, to wtedy postaw wszystko na jedną kartę. Masz go urobić za wszelką cenę.

*Tylko czemu jeszcze nic nie wiedziałam o tej cenie?*

— Okej – wymruczałam wbrew sobie. Nadal uważałam, że mam ważniejsze rzeczy do roboty. — Stary ranczer z Barrington Hills, którego mam przekonać do sprzedania pewnie całego jego dobytku. Co to dokładnie za ranczo?

— Należy do rodziny Thomasów. Stary Thomas umarł dwa lata temu, a teraz wszystkim zajmuje się... — zerknęła na jakiś zapis w dokumentach — Archer Thomas. To może być brat Benedicta Thomasa, ale w sumie nie mam pewności. Uważaj tylko na Melinę, to żona zmarłego Thomasa, jest zacięta, już nieraz nam to pokazała.

— Dam radę — zapewniłam. — To tylko starszy facet z brzuszkiem, który już długo nie pociągnie, prawda? Co mogłoby pójść nie tak?

# Rozdział 1

## Archer

— Kelly, zaraz się spóźnimy!

Biegałem po kuchni i zbierałem książki mojej jedenastoletniej córki. Wrzucałem do plecaka jak leciało. W tym momencie dziękowałem mojej mamie, że przygotowała dziewczynkom drugie śniadanie. Sięgnąłem po czerwony pojemnik z kanapkami i już miałem go spakować, kiedy Andy, moja najstarsza córka, wyjęła mi go z dłoni.

— To mój, tato. — Sięgnęła po niebieski i mi go wręczyła. — Ten jest Kelly.

— Dzięki — wymruczałem. — Sprawdzę, co u twojej siostry, a ty zapnij Lily do fotelika. Czekaj przed domem, a pick-up jest otwarty.

— Nie ma sprawy. — Sięgnęła po swój plecak.

— Poczekaj. Czy ty masz na ustach szminkę?

— To tylko błyszczczyk, Jezu.

— Wolę „tato”, na miano Jezusa jeszcze nie zasłużyłem. Zmyj to, masz dopiero czternaście lat, Andy. — Westchnąłem przeciągle.

— Chyba nie mamy na to czasu, co? Kelly się guzdra, więc powinienś to sprawdzić.

A potem wypadła z domu, jakby się paliło. Kiedyś mogę oszaleć przez tę dziewczynę. Przez wszystkie moje córki. Samotne wychowywanie czternastolatki, jedenastolatki oraz czteroletniego brzdąca wcale nie należało do łatwych. Czasami przez to wszystko wariowałem.

Teraz także. Biegłem po schodach z jedną ręką przeciętną przez rękaw koszuli w kratę oraz z plecakiem w drugiej dłoni. Uderzyłem raz w drewnianą powierzchnię, po czym wszedłem do pokoju córki.

— Na litość boską, Kelly, jak zwykle!

Siedziała na łóżku i właśnie wciągała skarpetki, uśmiechała się przy tym niemal przepraszająco. Nie potrafiłem nic poradzić na to, że najbardziej na świecie kochała łóżko i zawsze należało się natrudzić, by oderwać jej głowę od poduszki. Kiedyś myślałem, że umarła, bo przez dobre dzieśnięć minut nią potrząsałem, a ona ani drgnęła.

— Jestem już prawie gotowa, nie krzycz.

— Jutro wstajesz o piątej. — Wskazałem na nią palcem. — A teraz pięć minut i widzę cię w samochodzie. Jeśli znowu zostanę wezwany z twojego powodu do pani dyrektor, która będzie mi mówiła, że nie powinnaś się ciągle spóźniać, to skończymy z budyniowym wtorkiem.

— Nie ośmielisz się! — Sapnęła głośno.

— A chcesz się przekonać?

— No coś ty, nie. — Pokręciła głową. — Zrozumiałam, pięć minut.

Włożyłem do końca koszulę, zapiałem guziki, zostawiłem rozpięte jedynie dwa górne. Potem chwyciłem klamoty Kelly, by zabrać je do samochodu, i wybiegłem z pokoju, rzucając córce ostatnie ostrzeżenie.

Normalnie nie byłem surowym rodzicem, ale odkąd musiałem radzić sobie z dziećmi praktycznie sam, od czterech lat, to więcej wymagałem, chociażby jakiejś współpracy. Niby mama mi pomagała, mieszkała z nami, lecz nie chciałem jej za bardzo obarczać obowiązkami ze względu na problemy ze zdrowiem, z którymi się zmagала. Zresztą takie proste rzeczy jak wstawanie na czas to chyba nie jest zbyt dużo. Andy i Lily dawały radę się szybko ogarnąć, natomiast Kelly to serio największy śpioch, jaki tylko chodził po tej planecie. Dzień w dzień ten sam scenariusz, a ona nie potrafiła się nauczyć. Zresztą ja też, jeśli już o tym mowa. Od dawna powinienem budzić córkę wcześniej, żebyśmy rano nie musieli uwijać się jak w ukropie. To cud, że udało mi się wziąć prysznic, a potem ogarnąć dwie z trzech moich córek.

Andy dużo mi pomagała, nie dało się ukryć. Ubierała Lily, gdy ja właśnie radziłem sobie z takim armagedonem. Karmiła także konie i kury, zabierała ze sobą Bonnie i Clyde'a, nasze owczarki niemieckie, którym imiona nadała zainspirowana swoim ulubionym musicalem. I gdyby nie ona, to w sumie z wieloma rzeczami bym sobie nie radził. Nawet jeśli moje córki ciągle mówiły, że jest ze mnie świetny tata, i o tym, jak mnie kochają. Wtedy zawsze chciało mi się płakać, bo to mi przypominało, że Harper już nie ma, a ja muszę być silny dla moich dziewczynek.

— Cześć, piękny.

Zatrzymałem się na górze schodów, kiedy właśnie miałem zbiegać na parter. Mama stała w drzwiach do swojej sypialni, wyglądała na zmęczoną. Ostatnio prawie w ogóle się nie wysypiała. Podupała na zdrowiu od dnia śmierci ojca, ale czasami przychodziły dobre dni. Wtedy wstawała przed nami wszystkimi i piekła ciasto marchewkowe oraz ciasteczka maślane. Dzisiaj się uśmiechała, ale ten uśmiech nie sięgał oczu. Była już ubrana, miała nieco rozbiegany wzrok.

— Hej, mamus. — Cmoknąłem ją w policzek. — Powinnaś się położyć, wyglądasz na wyczerpaną.

— Ja? Wolne żarty, Archerze Thomasie. — Prychnęła, założyła dłonie na szerokie biodra. Od razu zaczęła bić z niej werwa, w oczach pojawił się dziwny błysk. — To przecież ty co rano walczysz, by wyprawić dwie córki do szkoły i jedną do przedszkola.

— A ty co rano robisz im drugie śniadania.

— Dzisiaj to nie ja. — Wzruszyła ramionami. — Natknęłam się na Andy. Kazała mi odpoczywać i powiedziała, że sama przygotowuje kanapki.

Uśmiechnąłem się półgębkiem. Andy uwielbiała się buntować i zwykle nie ufała ludziom, a niektórzy określali ją jako diabolicę w ogrodniczkach i gumiakach, co miało w sobie ziarenko prawdy, jednak jak już pomagała, to dawała z siebie wszystko. Byle tylko odjąć zmartwień innym ludziom.

— Dobrze, posłuchaj. Biegnij do samochodu, a ja dopilnuję, by Kelly zaraz zesła.

— Nie musisz...

— Wynocha, synu! I zobacz, jak ty wyglądasz! Widziałeś się dzisiaj w lustrze? Postanowiłam nie komentować tego piekielnego zarostu, ale krzywe zapięcie koszuli to już inna kwestia.

Spojrzałem na materiał i głośno westchnąłem. Tak, miała rację. Nawet nie zauważyłem, że zapiąłem ją nierówno. Teraz tylko machnąłem dłonią.

— Nieważne, później poprawię, teraz nie mam czasu. Do zobaczenia.

Ruszyłem przed siebie. Prawie potknąłem się na przedostatnim stopniu, na co siarczyście zakląłem. Na szczęście Lily nie było w pobliżu. Starałem się nie przeklinać, zwłaszcza przy czterolatce. Parę razy się zapomniałem i nie przebierałem przy niej w słowach, nie zważałem na jej elokwencję, a ona potrafiła mnie zganić. Czterolatka zabroniła



mi strzępić język, dokładnie tak. Od tamtej pory się przy niej hamowałem, byle tylko nie powtarzała tych słów w przedszkolu. Jeszcze ktoś by stwierdził, że jako samotny ojciec w ogóle sobie nie radzę, nawet jeśli trwało to już cztery lata i z każdym dniem wiedziałem coraz więcej.

Andy już siedziała na przednim siedzeniu, wpatrzona w telefon. Otworzyłem tylne drzwi i natknąłem się na błękitne oczka Lily, która wesoło poruszała nóżkami, to w przód, to w tył. Rzuciłem plecak Kelly na wycieraczkę podłogową, po czym palcem wskazującym zahaczyłem o nosek czterolatki.

— Dzień dobry, pszczołko.

— Tatusiu! — Zacisnęła palce na moim nadgarstku. — Musimy już jechać, bo pani Gina zabiera nas dzisiaj na wycieczkę po jarmarku. A jak się spóźnię, to jeszcze pójdą beze mnie. I będę wtedy bardzo, bardzo smutna.

— Nie spóźnimy się — zapewniłem i przyłożyłem usta do jej czołka. — Twoja siostra już idzie, więc będzie można jechać.

Zatrzasnąłem drzwi, obszedłem pojazd, po czym wskoczyłem za kierownicę. W tym samym momencie Kelly wybiegła z domu w jednym buciu. Westchnąłem przeciągle, gdy zaczęła podskakiwać na lewej nodze, by dostać się do pojazdu.

— Jak kangur! — Lily głośno się zaśmiała, kiedy Kelly wskakiwała do samochodu od jej strony.

— Kangur skacze na dwóch łapach.

— Bo ty jesteś upośledzona — wymruczała Andy, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od wyświetlacza telefonu.

— Nie zaczynajcie, dobra? — Przewróciłem oczami. — Kelly, pasy.

Po czym szybko ruszyłem spod domu i w mgnieniu oka przejechałem za ogrodzenie naszego rancza. Usłyszałem głucho stuknięcie, a potem cichy jęk i śmiech.

— Dawaj, tato, szybciej! — krzyknęła czterolatka i chyba zaczęła podskakiwać.

— Nie, wcale nie, bo jeszcze nie zdążyłam się zapiąć, a moja głowa zaraz umrze z bólu – zaprotestowała jedenastolatka. — Możesz się tak nie rozpychać, Lily? Zabieraj to... Siedź na swojej części! Powiedz jej coś, tato, bo zaraz wyskoczę przez okno!

— Spokój! — Uderzyłem dłonią w kierownicę. — Jeśli spowoduję wypadek, będzie to wasza wina, a lepiej, by nikt nie umarł. Jeśli któraś



piśnię choć słówko, to wtedy koniec z budyniem na śniadanie, i koniec z wieczorną jazdą na kucykach.

I nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Byłem z siebie niesamowicie dumny. Już wiedziałem, co działa na moje córki za każdym razem.

Kiedy tak jechałem w kierunku szkoły, spojrzałem kątem oka na Andy. Podrygiwała kolanem w takt lecącej w radiu piosenki.

— Idziesz dziś po szkole pomagać pani White w sklepie? — zapytałem.

— Yhm. Poprosiła, bym wpadła na dwie godzinki. Ma przyjechać dostawa, więc pomogę jej z tym, a potem pewnie wrócę do domu.

— Przyjechać po ciebie? I tak miałem wybrać się na jakieś zakupy.

— Nie trzeba, tato, poważnie. Wrócę autobusem. Masz inne sprawy na głowie, nie musisz jeszcze kłopotać się mną.

— To nie kłopot, no ale dobrze, skoro tak wolisz. — Przygryzłem dolną wargę. *Teraz kolejny obowiązek tatuszka, musisz o to zapytać, Archer.*

— Chcesz jakieś pieniądze?

— Nie trzeba, dzięki. Mam jeszcze trochę z kieszonekowego.

A potem już do końca drogi się nie odezwaliśmy. Przygotowywałem się do kolejnego dnia z życia Archera Thomasa, które nie należało do najłatwiejszych, ale jakoś sobie radziłem. W miarę dobrze.

\*\*

Dochodziła jedenasta trzydzieści, a ja od kilkunastu minut przebywałem w stodole, właśnie kończyłem dokręcać śrubki przy krześle obrotowym Lily. Już od dawna się do tego zbierałem, ale byłem tak zabiegany, że nawet na coś tak prostego nie starczało mi czasu.

Siedziałem na podłodze na rozłożonej koszuli, kapelusz kowbojski rzuciłem obok i pośpiesznie zajmowałem się naprawą. Musiałem jeszcze wymienić zawiasy w szafce kuchennej, dokręcić kran, naprawić dwa gniazdko na piętrze, a także wymienić olej w samochodzie. Obiecałem też pomóc przyjacielowi w składaniu mebli. No i jak co wieczór wybierałem się z dziewczynami na konną przejażdżkę, z której nie zamierzałem rezygnować. To była nasza tradycja, kiedy jeszcze żyła Harper, czego Lily nigdy nie doświadczyła. Nie poznała mamy, która zmarła przy jej porodzie.

A teraz, choć ranczo zostało mi przekazane całkowicie, mojego ojca już nie było, a mama wołała, by ktoś inny się nim zajmował, i miałem

znacznie więcej obowiązków, nie chciałem zrezygnować z tego, co było dla nas ważne. Bo za szczęście Andy, Kelly i Lily mógłbym zejść na dno piekła, mógłbym zatracić sam siebie i poświęcić wszystko, byle tylko one więcej nie cierpiały, byle nie były smutne czy rozczarowane.

I kiedy tak siedziałem, nie wiedzieć już, jak długo, rozmyślania przerwało mi czyjeś wtargnięcie. Lily wbiegła do stodoły. Miała włosy związane w dwa kucyki, ogrodniczki, a na stopach różowe trampki. Nie poszła dzisiaj do przedszkola, ponieważ jeszcze koło szóstej twierdziła, że źle się czuje. Teraz wyglądała, jakby nic jej nie było, więc pewnie jak zwykle dałem się nabrać. Natomiast Kelly i Andy miały wrócić dopiero za jakiś czas. Potem zwykle odrabiały lekcje, zajmowały się czymś na gospodarstwie, by ze wszystkim skończyć do wieczornej przejażdżki. Dlatego nie chciałem się teraz rozpraszać, skoro jeszcze tyle napraw mi zostało. Jednak Lily miała swoje własne plany i ewidentnie wyparła z pamięci niedawne złe samopoczucie.

— Tato, kłamałeś! — krzyknęła. — Nie wolno, jesteś niefajnym kłamczuszkiem.

— Co? Niby z czym kłamałem?

— Mówiłeś, że książeczki Disneya są tylko w bajce i nie istnieją naprawdę.

— Bo tak jest. To tylko bajki, słonko.

— Ach, tak? — Założyła ramiona na biodra i przyjrzała mi się wyzywająco. — Nieprawda, nieprawda! Skoro one nie istnieją, to dlaczego jedna stoi na naszym podjeździe, co? To Kopciuszek, przysięgam.

Moje brwi powędrowały w górę. Lily jak zwykle coś się ubzdurało, już nieraz musiałem jakoś sobie radzić z podobnymi farmazonami. Ale tym razem замуrowało mnie i pierwszy raz nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Tatusiu! — Podbiegła do mnie i uwiesiła się na mojej szyi, bo w końcu nadal siedziałem na podłodze. Próbowwała wskoczyć mi na plecy, ale jakoś jej nie wychodziło. Zaśmiałem się cicho.

— Chodź, proszę cię. Musisz to zobaczyć. Musisz!

— A jak pójdę, to przestaniemy o tym rozmawiać i się uspokoisz?

— Obiecuję na paluszka.

Wyciągnęła do mnie dłoń, więc zahaczyłem swoim palcem o jej, dużo, dużo mniejszy. Potem podniosłem się z jękiem, żeby pójść obejrzieć tego rzekomego Kopciuszka naruszającego nasz spokój.

Wyszliśmy ramię w ramię ze stodoły. Szliśmy w kierunku głównych drzwi domu, kiedy zatrzymałem się gwałtownie. Lily też przystanęła i niemal wyczułem jej tryumfalny uśmiezek. Nie wierzyłem w to, co rozgrywało się na moich oczach. Zastanawiałem się, czy aby na pewno nie mam zwidów.

— No i co? — wymruczała. — Przecież ci mówiłam.

*Szlag by to. Tego to się nie spodziewałem, ale pewne było jedno. Widok, jaki się przede mną rozciągał, był bezcenny.*



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# MIAŁA SPĘDZIĆ NA RANCZU KILKA DNI. ZOSTAŁA O WIELE DŁUŻEJ

Toksyczni szefowie mogą naprawdę uprzykrzyć życie — wtrącają się we wszystko, kwestionują decyzje, stawiają dużo wymagań, za to rzadko udzielają pochwał. Dokładnie tacy są przełożeni Brooklyn, trzydziestodwuletniej specjalistki od nieruchomości. A że szefowie Brooklyn są przy okazji jej rodzicami, więc swoją kontrolę rozciągają także na pozazawodowe życie młodej kobiety. W każdym razie próbują. Wysyłają ją na odludzie, by skłoniła właściciela rancza do jego sprzedaży. W sumie — dlaczego nie? Brook przyda się kilka dni odpoczynku od wielkomiejskiego zgiełku, a jakiś stary, niedołączny ranczer chyba nie sprawi wielu kłopotów...

Tyle że Archer Thomas nie jest niedołącznym staruszkciem. Przeciwnie — to młody, przystojny mężczyzna. „Kilka dni” trochę się więc przeciągnie, tym bardziej że Brook poczuje się w Barrington Hills dziwnie dobrze — po raz pierwszy z dala od presji wywieranej przez rodziców, od pędu i stresu związanego z pracą w dużej firmie. Jest tylko jeden problem: atrakcyjny pan Thomas nie zna prawdziwych przyczyn, dla których kobieta pojawiła się na jego ranczu. A jest na świecie jedna rzecz, której Archer nie wybacza.

Kłamstwa...

## PATRONI MEDIALNI:



© CUTE  
©© SENSUAL  
©©© SPICY  
©©©© DARK

**editio**  
**Red**  
EDITIO.PL

ebook dostępny na:

**ebookpoint**

ISBN 978-83-289-0268-8



9 788328 902688

cena: 44,90 zł